

MERCÉ

RODORÉDA



**OGRÓD  
NAD BRZEGIEM  
MORZA**

Z katalońskiego przełożyły

**Anna Sawicka**

**Magdalena Pabisiak**

MARGINESY

This book was translated with the help  
of a grant from the Institut Ramon Llull



*Jardí vora el mar*

COPYRIGHT © Institut d'Estudis Catalans

Published by agreement with Casanovas & Lynch Literary Agency,  
Spain and Book/lab Literary Agency, Poland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY  
Anna Sawicka, Magdalena Pabisiak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Nie żebym był plotkarzem, ale zawsze lubiłem wiedzieć, co sływać u innych... Może dlatego, że kocham ludzi, pokochałem też gospodarzy tamtego domu. Ale od owych spraw upłynęło wiele czasu i o wielu zapomniałem; starość sprawia, że niechęć gubię się we wspomnieniach... Można było sobie darować filmy w kinie Excelsior, kiedy oni tu przyjeżdżali z przyjaciółmi. Do ich grona zaliczał się jeden taki, który malował morze. Feliu Roca się nazywał. Wystawiał w Paryżu, w Barcelonie chyba też jest znany i wydaje mi się, że na tym swoim bezkresnym błękicie całkiem nieźle zarobił. Malował błękit morza na wszelkie sposoby: spokojny, szalony, z falami wysokimi, z małymi. Morze zielone, w kolorze lęku. I szare, o barwie chmur. Pejzaże morskie. Kiedy się przyznawał, że tworzy takie morskie widoki, znajomi mu sugerowali, że gdyby malował plamkami, szybciej trafiłby w gust Amerykanów. Żartowali z niego, przypominając, że morze malowało przed nim wielu artystów; a cóż on... szykowny kawaler, jasnowłosy, o niebieskich, nieco sennych, rozmarzonych oczach. Czasami się jękał, kiedy mie-

szanina kolorów na palecie nie wychodziła po jego myśli. Twierdził, że trudniej jest malować ten niebieski żywioł niż zajmować się kwiatami. Ja mu na to: tak, tak, ma pan rację. Kwiaty powstają same. Może dlatego tak nisko się ceni zawód ogrodnika. Po prostu chciałem mu poprawić humor, a wtedy on mi obiecywał, że jak już namaluje morze na wszystkie możliwe sposoby, wtedy sportretuje mnie, jak sobie siedzę w słońcu. Kto by tam mu wierzył... Co roku, kiedy się pojawiał, cieszyłem się, że znów się widzimy, i myślę sobie, że on też się cieszył. Sześć wakacji... W sumie sześć letnich sezonów, i jeszcze tamta nieszczęsna zima... Jedna z przyjaciółek – te, które przyjeżdżały co roku, były dwie – miała na imię Eulàlia, a ta druga Maragda. Modystka z zawodu, szefowała młodziencej Rosamarii, kiedy razem pracowały, i taki był początek ich przyjaźni. Kiedy rano wracały z kąpeli, starałem się znaleźć sobie jakieś zajęcie przy grządkach, tych najbliższych. Najlepiej przy tej właśnie, teraz zarośniętej zieliskiem, bo chciałem posłuchać, o czym rozmawiają. I tyle było radości, tyle młodości, tyle pieniędzy... tyle wszystkiego... i dwa nieszczęścia. Raz zauważyłem dogorywającego ptaszka. Pewnie umierał z rozpacz, jak Eugeni.

Pierwszy raz panicz i panienska przyjechali tu z początkiem wiosny, zaraz po ślubie. Jego już znałem. Widziałem go dwukrotnie: najpierw, kiedy oglądał posiadłość, którą zamierzał kupić, a potem, kiedy przyjechał sprawdzić, jak przebiega zlecony przez niego remont. Za drugim razem zdecydował, że mnie zatrzyma, bo się nadaje

na ogrodnika. W podróż poślubną wybrali się za granicę, z krótkim przystankiem w nowej posiadłości. Dużo wtedy spacerowali i niemało czasu spędzili na tarasie widokowym, skąd obserwowali przyprływy i odpływy oraz niebo ze wszystkim, co się na nim rusza; jedno blisko drugiego, a czasem w objęciach. W ciągu dnia uprzedzałem ich pokasływaniem, że się zbliżam, bo chociaż to nie grzech, kiedy małżonkowie się przytulają, jednak zastanawiałem się, czy im nie przeszkadza, że ich widzę. Quima, kucharka, też w tych dniach się zjawiła. Później weszło w zwyczaj zatrudnianie jej na cały sezon, bo ich kucharka, ta z Barcelony, na lato wyjeżdżała do rodziny. Quima wypytywała mnie o wszystko, co robili w ogrodzie, a ja ją o to, co w domu, bo dużo wiedziała od Mirandy, jednej z pokojówek, tej z Brazylii. Miranda nosiła czarną suknię, tak opiętą na chudym ciele, że wyglądała jak żmija, i chyba już lepiej by jej było bez niczego. I jeszcze fartuszek, koronkowy, wielkości dłoni. Quima tylko wzdychała: no widzi pan. Teraz niewiele miała dla mnie plotek, bo prawie nic się nie działo. Czasem panicz Francesc wkładał panience Rosamarii oliwkę do ust, a ona ją chwytiała ząbkami... Najwyraźniej stracił dla niej głowę. Zauważyła też, że twarz Mirandy, w kolorze lukrecji, bladła, na każde o tym wspomnienie. Z zawiści – zdaniem Quimy. Pewnie te Brazylijki już takie są. Któregoś dnia, kiedy państwo pojechali samochodem na spacer, Quima zaprosiła mnie na górę, i chociaż się bałem, że wrócą i nas tam przyłapią, ona nalegała: „Warto zobaczyć, co za klejnoty!... Panicz Francesc to jeden z najbogatszych

barcelończyków”. I pokazała mi wiele świecidełek, z komentarzem, że to wszystko brylanty; i jeszcze naszyjnik z zieloną gruszką na środku. Naprawdę zamożni ludzie. I zadufani w sobie. Przez szpary w żaluzji wyrzeliśmy na ogród. Ziemią, na której stała willa, rządziło wtedy zielsko i jaszczurki.

Wyjechali i zapowiedzieli, że wrócą w czerwcu z przyjaciółmi. Dostałem klucze i zostałem panem domu, który od czasu do czasu należało przewietrzyć. Ucieszyłem się, kiedy zawiadomili mnie listownie, że już wracają. Zgodnie z poleceniem zatrudniłem Quimę na lato i aż się zarumieniała z radości, bo panicz Francesc napisał, że bardzo mu smakowały jej pieczone sole. Miranda przyjechała dwa czy trzy dni wcześniej z dużymi walizkami i nie zaszczyciła mnie nawet słowem. Ja do zielska na dworze. Ona do kurzu w środku. Dotarli drogą morską. Po trzech dniach usłyszeliśmy syrenę statku; ja zaraz go dostrzegłem, a jak dostatecznie się przybliżył, spuścili motorówkę i już zostali na plaży, w kostiumach kąpielowych; od razu zaczęli pływać, a jedna z przyjaciółek jeździła na nartach wodnych i unosiła się nad wodą jak jakaś figurka. Przywieźli ze sobą instruktora, żeby ich wszystkich tej jazdy uczył, a panienska Rosamaria żartem zapytała mnie, czy nie chciałbym spróbować, a ja jej na to, że już jestem za stary. Zainteresowała się, czy nie zmarniała mi jakaś roślina, ale ją uspokoiłem, że Bogu dzięki wszystkie są zdrowe. Wynajęli nową pokojówkę, Marionę, dziewczynę ze wsi, młodziutką, drobną i głądziutką jak kamyk na plaży.

Nocami, przechadzając się po alei lip i morw, spoglądałem często na ich pokój. Zawsze lubiłem te nocne spacery, kiedy czułem, jak ogród oddycha. Potem wracałem noga za nogą, zmęczony, do mojego domku i napawałem się spokojem, w jakim pozostaje to wszystko, co w świetle dnia jest zielone i kolorowe. Zauważyłem, że późną nocą ktoś pęta się po ogrodzie. Zaczaiłem się i przyłapałem Mirandę. Miałem jej za złe, że spaceruje z patykiem w ręce, że uderza nim rośliny. Którejś nocy zaskoczyłem ją i zwozywałem od najgorszych.

– Miranda? – zastanawiała się Quima. – Nic dobrego. Nie można ufać komuś, kto czuwa, kiedy pora spać. Mirandzie chodzi o to, żeby... ale mnie się wydaje, że panicz nie widzi żadnej poza tą jedną... Panienska Rosamaria może spać spokojnie.

– Są mężczyźni, którzy gustują w cudzoziemkach z dalekich stron, lubią myśleć o kolorowych drzewach i piórach; to ich pociąga... – zaoponowałem. Na to Quima, że takich wariatów powinno się zamykać i że odmawia mi prawa głosu. Nie taki znów ze mnie wariat. Miranda, udając niewiniątko, zastawiała sidła.

Nieprędko dowiedziałem się czegokolwiek o paniencie Eulàlii, tej, która już umiała śmigać po morzu na nartach. Miała jasną cerę i czarne włosy; sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie. Niepodobna do naszej panienki, która roztaczała wokół siebie coś w rodzaju pięknej pogody. Przez jeden sezon wydawało mi się, że Feliu, malarz, trochę się podkochuje w paniencie Eulàlii, ale on miał w głowie tylko malarskie problemy i kiedy mu coś żartem

zasugerowałem, bronił się, że nie pociągają go kobiety pretensjonalne, to nie dla niego, on zamiast bukietu róż woli bukiet tego czegoś... I wskazał kępę kwiatów. „To naparstnica”, poinformowałem, „nic nadzwyczajnego, zwykła naparstnica”. A on znów swoje: „Niektóre kobiety, gdybym się nie miał na baczości, żywcem by mnie zjadły i malarz by się skończył, nim się zaczął”.

Nie wiem, czy miał rację, i on też tego nie mógł wiedzieć, ale obaj zaczęliśmy się śmiać. Quima od czasu do czasu mnie podpytywała, co też Miranda porabia nocami.

– Nic takiego. Tylko sobie łązi... Dopóki nie niszczy roślin, niech robi, co chce.

Którejś nocy przy pełni księżyca poszła się kąpać. Gdyby nie księżyc, chyba bym jej nie rozpoznał. Wbiegła do wody, jakby zanurzała się w morzu atramentu. A wychodząc, błyszczała jak oliwka. Wyciągnęła się na piasku i długo tam leżała; myślałem, że zasnęła. A woda plusk, plusk, plusk, przyplwam, odpływam... Udałem rehot żaby, a Miranda nic, żadnej reakcji. Martwa cisza. W końcu znużyło mnie to kumkanie. Poszedłem spać, a kiedy już zasypiałem: kum... kum... kum... Pod samym oknem. Miałem ochotę ją zabić. Ale udałem, że śpię, i już na zawsze zachowałem do niej urazę.

Ktoregoś dnia, kiedy panienka przyszła rozejrzeć się w ogrodzie, pokazałem jej rozsadnik. „Widzi pani te wszystkie maleństwa?”, zapytałem. „Wyrosną z nich kwiaty, a kiedy państwo już wyjadą, one przekwitną i nie zostanie po nich nic: tylko nasionka”. Zaskoczyłem ją, bo



najwidoczniej nikt nigdy jej nie uświadomił, co się dzieje z małymi roślinkami, które wyrastają z nasionek. Dobrze się jej przyjrzałem, a było na co patrzeć. Miała w sobie coś takiego, że nie wiem, czy ja, zwykły ogrodnik, umiałbym wyrazić; nie potrafię opisywać, zwłaszcza tego, co delikatne... A przecież ogrodnik to osoba trochę inna niż wszyscy, dlatego że mamy do czynienia z kwiatami, ale także z ziemią. Można powiedzieć, że jedno równoważy drugie. Ale przy niej, to znaczy przy paniencie, czułem się tak, jakbym miał do czynienia tylko z kwiatami. Chyba się trochę zaplątałem. Panienka bardzo mi się podobała... ale tylko żeby na nią patrzeć, nic więcej. Czasem miałem na końcu języka: „Proszę usiąść, będę na panią patrzył”. Nigdy się nie odważyłem, no jasne. Ale zrobiłbym to, gdybym nie zdawał sobie sprawy, że nie tylko weźmie mnie za wariata, ale w dodatku może mnie zwolnić.

– Długo już pan tu mieszka? – zagadnął mnie Felu, kiedy przyglądałem się, jak maluje.

– W tej miejscowości?

– Nie. W tym domu.

– Od kiedy wyszedłem z wojska. W tym ogrodzie są drzewa przeze mnie sadzone, i to wcale nie te najmłodsze. Poznałem dwoje właścicieli: panią Pepę, która miała wredny charakter, starą jak sztuka chodzenia pieszo, i pana Rovirę, dobrego jak kromka chleba, który do niczego się nie wtrącał. Ale obecni właściciele pozwalają mi upiększać ogród, przede wszystkim sadzić kwiaty sezonowe, bo już od pierwszego dnia zachęcali mnie, że bym się nie liczył z kosztami.

– Podoba się panu to, co maluję?

– Jak by to powiedzieć... Ile by morza nie malować, mnie najbardziej się podoba to prawdziwe.

A któregoś dnia kazał mi usiąść, bo właśnie pracował nad kolorem, i chciał zasięgnąć mojej opinii, bo mu się w oczach mieniło, więc ja smażyłem się w słońcu, a on ciągle nie potrafił się dogadać z pędzlem. Bardzo się cieszył, kiedy uznałem, że jego kolor jest bardzo podobny do koloru wody, tylko brak mu jej lekkości... A kiedy zacząłem się tłumaczyć, że robota czeka, poprosił, żebym jeszcze został, i zrobiłem mu tę przyjemność, posiedziałem jeszcze chwilę, z grzeczności.

Miranda chwyciła się różnych sztuczek, żeby go zdobyć. Przekonywała, że powinien ją namalować na tle rododendronów. A mnie obiecał, że mnie namaluje, choć wcale o to nie prosiłem. Stawała przed nim, robiła miny, przybierała pozy i pytała, w której mu się najbardziej podoba, aż pewnego dnia oświadczył, że na malowanie jej nie ma czasu, ale ją narysuje. Trzymał ją ponad godzinę na stojąco i ciągle strofował, że się poruszyła. Dziewczyna zastygła nieruchomo jak pień, bała się oddychać. Kiedy pokazał jej gotowy rysunek, uciekła rozwścieczona, bo Feliu narysował ropuchę.

Panienska Maragda mówiła, że ona na miejscu naszej pani zwolniłaby tę kokietkę, bo jej uroda jest niebezpieczna, i choćby nie wiem jak się podlizywała, ona się nie da nabrać. Widocznie kiedyś Rosamaria musiała jej odpowiedzieć, że lubi ryzyko, że niczego nie zamierza zmieniać i niczego się nie boi. Panicz Francesc w pobliżu

żony nie widział poza nią świata. „No tak”, stwierdził kiedyś Feliu, „łatwo poznać, że jest zakochany, może nawet bardziej, niż mi się wydawało na początku, za czasów tego epizodu z Eugenim”. W tamtym roku pojawili się też zaprzyjaźnieni Francuzi, z córką. Mieszkali w zajeździe Bergadansa, ale kręcili się tutaj całymi dniami. Dziewczynka jeździła na nartach wodnych, a matka czasem zaglądała do kuchni, żeby przyrządzić jakieś specjalne danie. Bawili mnie ci przyjeżdżający i odjeżdżający, ale przez nich przybyło szkód w ogrodzie i któregoś dnia musiałem rozmówić się z panienką, żeby ich grzecznie poinformowała, że po kwiatki mają się zgłaszać do mnie, żeby nie zrywali ich sami i nie niszczyli roślin. Mała Francuzka zakochała się w Feliu. Może nie tyle zakochała... chciałem powiedzieć, że raczej przyssała się do niego jak jemioła. Całymi dniami deptała mu po piętach i oświadczyła, że chce się uczyć malarstwa, a Francuz zapytał, czy Feliu zgodzi się być nauczycielem jego córki tego lata, i Feliu musiał się zgodzić, żeby się nie narazić gospodarzom, ale w głębi duszy wściekał się i przeklinał dziewczynkę, jej ojca i cały dwór niebieski. No i proszę, już mamy smarkulę w ogrodzie ze sztalugami i kasetą farb, a najlepsze, że jej ojciec do wszystkiego się wtrąca i daje rady biednemu Feliu, który może tylko zgrzytać zębami. Mnie wyjaśniał: „Ten Boży aniołek najpierw powinien się nauczyć rysować...”. Ale i rodzicom, i dziewczynce zależało na kolorach. Kiedy o tym wszystkim mówiłem Quimie, prawie mnie nie słuchała; tego samego dnia mi uświadomiła, że panienka ciągle gdzieś jeździ,

wyłącznie ze swoimi przyjaciółkami. Rano się kąpały, a potem wybierały się do pobliskich miejscowości i zostawały tam na obiad. Panowie mieli swój, że tak powiem, program, a panie swój: oni jechali w jedną, a panie w drugą stronę. I znów Miranda zabrała się do dzieła, ale teraz z paniczem Franceskiem.

Pod koniec lata panicz przyszedł mnie poinformować, że przed wyjazdem organizują wielkie przyjęcie, więc mam usunąć tę grządkę między dwiema magnoliami. W pierwszej chwili wydało mi się, że go nie zrozumiałem. Co pan powiedział? – spytałem. Powtórzył, a mnie ciężko było pogodzić się z tą niespodzianką.

– Teraz, kiedy na niej rozkwitły lilie peruwiańskie i holenderskie bratki?... Myśli pan, że grządka w pełnym rozkwicie jest jak krzesło, raz tu, raz tam?

Ale nie miałem innego wyjścia, musiałem ją zlikwidować, a na jej miejscu postawili stół, od drzewa do drzewa, długi na dobre dziesięć metrów.

Następnego dnia, kiedy zajmowałem się goździkami indyjskimi i rozkoszowałem się ich zapachem, takim trochę korzennym, podeszła do mnie Quima, wytarła ręce w fartuch i przekazała mi nowinę:

– Mówi, że wynajmą dodatkową obsługę.

– A kogo?

– Zobaczymy. – I odeszła zamyślona.

Panienska ją uspokoiła, że w dniu przyjęcia nie będzie miała żadnych obowiązków prócz zmywania i wycierania naczyń. I ma stanąć na głowie, już ona wie jak, żeby

lodu nie zabrakło. Wtedy jeszcze willa stała na dzikim ugorze, z zielskiem, jaszczurkami i tymi owadami, które muzykują: mam na myśli świerszcze. No więc w dniu zabawy wszystko zastawiły samochody. Instruktor nart wodnych chodził w przebraniu złodzieja, z wytrychami wiszącymi u paska. Wszyscy się przebrali. Mała Francuzka za żółto-niebieskiego motyla, a jej matka za diabła. Dwa dni wcześniej elektrycy zainstalowali światła w ogrodzie, a z tygodniowym wyprzedzeniem panienka Maragda, modystka, sprowadziła grupę dziewcząt ze swojej pracowni, i one wszystkie siedziały na drugim piętrze i przygotowywały stroje na zabawę. I te nieustające wyprawy do Barcelony, po koronki i wstążki, zawsze czegoś brakowało, tego czy tamtego, a Quima i Marionna dostawały kręćka od nadmiaru obowiązków, jakie na nie spadły. Trzy dni przed przyjęciem zaczęło lać. Kiedy coś sobie planujesz... wody z nieba otrzymasz obfitość. Morze wzburzone, Feliu z małą Francuzką jak z pijawką, gospodarze w złym humorze, a instruktor jazdy na nartach wodnych przez cały dzień w zajeździe Bergadansa gra z Francuzem w karty. Dziewczęta szyły, a wszyscy spoglądali w niebo z niepokojem. Topinambury za moim domkiem się przewróciły, motorówka się zerwała i potrzebny był statek, żeby ją odszukać, a instruktor nart wodnych o mało tego nie przypłacił głową, bo morze dostało ataku szaleństwa. Ja wtedy siedziałem u siebie, w zamknięciu; od czasu do czasu wyglądałem przez okno, a jeśli deszcz robił małą przerwę, wychodziłem sprawdzić, jakie szkody spowodował w ogrodzie. Nocą, gul...

gul... gul... w rurach. W ostatnią noc ulewa dosłownie się rozszalała.

Grzmotów i błyskawic co niemiara. Nie mogłem spać: przez otwarte okno słyszałem szum i widziałem, jak eukaliptusy się kołyszą, to w jedną, to w drugą stronę. Wątle liście opadały na ziemię, a na sufi cie zrobiły mi się zacieki. Rano wszystko się uspokoilo, deszczyk ledwo kropił, słabo i spokojnie. O dziesiątej wyrzało słońce, jak jakiś księżę, i całe morze stanęło w błękitach.